

Buchwald Grzegorz

Bajka o wampirach

Z „Fahrenheit”

I

- Dawno, dawno temu, za siedmioma gwiazdami, za siedmioma mgławicami istniała mała planetka. Nazywała się Nosferatus. Rosły na niej przepiękne gęste lasy, płynęły rzeki, istniały morza i oceany. Łądy przecinały pasma niebotycznych gór ze szczytami tonącymi w białych oparach chmur. Żyły na tej planecie przeróżne zwierzęta, w oceanach pływały ryby, a przestworza wypełniał szum ptasich skrzydeł. Pewnie, że upraszcam! Góry i oceany w swej istocie były takie same jak i na Ziemi, a jakże! Lecz to, co żywe różniło się nieco od tego, co znasz stąd.

Była to szczęśliwa planeta. Nikomu nie brakowało miejsca do życia, nikomu też nie brakowało jedzenia. W czym zatem problem - zapytasz? Ano w tym, że słońce, wokół którego krążyła planeta, umierało. Ani góry, ani łądy, ani morza, ani rzeki nie zdawały sobie z tego sprawy. Nie zdawały sobie z tego sprawy również zwierzęta, ryby i ptaki, ale istniał gatunek podobny do nas, który był tego świadom. Ich cywilizacja przetrwała zawieruchy wojen, przetrwała kataklizmy związane ze zmianami klimatu i życiem samej planety. Przetrwała niemal totalną zagładę środowiska naturalnego i otrząsnęła się z własnej głupoty i zapatrzania w siebie. Dzięki zdobyciom nauki udało im się odtworzyć wymarłe gatunki i doprowadzić ich świat do równowagi. Słowem: udało im się pokonać wszystkie zagrożenia i zbudować cudowną cywilizację żyjącą w pełnej harmonii z ich ojczystą planetą.

- Może tu będziemy mądrzejsi i nie zniszczymy własnej celi we wszechświecie? - dodał po chwili zadumy.

- Jakiej celi, dziadku? Jakiej celi? - Pызata buźka malucha ożywiła się.

- Kochany, jak mam ci to wytłumaczyć? Kiedy wczoraj stłukłeś wazon, mama postawiła cię do kąta. Przyjemnie było stać tam samotnie, bez ruchu, w oczekiwaniu na koniec kary?

- Nie, dziadku, wcale nie. Strasznie się nudziłem.

- A widzisz! A gdyby mama zamknęła cię w pokoju na cały dzień?

- A uciekłbym, dziadku, uciekł! - zaśmiał się smyk.

- Tak, z twojego pokoju nie trudno uciec. Wystarczy otworzyć okno i... ogród przed tobą. Pewnie, gdybyś zdeptał nagietki rosnące na klombie pod twoim oknem, mama wymyśliłaby sroższą karę, karę, która by cię nie ominęła.

- Pewnie tak.



O AUTORZE

Grzegorz Buchwald - lat 39. Inżynier budownictwa, po drodze belfer. Niektóre z jego utworów zostały przedstawione w Srebrnym Globie, jeden ukazał się w Science Fiction. Zaczął jednak w Fahrenheitie, w Fahrenheitie też pewnie skończy. Od kiedy doszedł do wniosku, że ma za cienki długopis, by zostać pisarzem, postanowił swój twórczy zapał nieco ostudzić. W każdym razie pisanie, to jedna z tych rzeczy na "P", nad którą ma zamiar zapanować; poza pieprzeniem od rzeczy rzecz jasna.

- A gdyby z twojego pokoju nie dało się uciec?

- Jak to: "nie dało się uciec"? - powtórzył malec z przestraszeniem. Nagle okazało się, że jego przemyślane figle nie były do końca przemyślane, jakby w swych założeniach "na każdą okazję" nie przewidział jakiegoś szczegółu i teraz dopiero sobie uświadomił, że może istnieć opresja, której nie pokona dziecięcy żywioł.

- No, gdyby na przykład w oknie były kraty, a drzwi zostałyby zamknięte na klucz.

- Przecisnąłbym się jakoś! - odezwał się lekceważąco. - Nieraz przeciskałem się między kratami!

- Tak, wiem! Krata w okienku do komórki jest taka, że udaje ci się przez nią przecisnąć, jednak przez kratkę do klatki z króliczkami nie udało ci się wejść! Utknąłeś!

- Ale rączkę przełożyłem...

- Ale gdybym cię zamknął w klatce, razem z króliczkami, to nie wyszedłbyś z niej, prawda? - Dziadek zniecierpliwiał się...

- Ale rączkę bym wyciągnął... - nie poddawał się maluch.

- Eee! - zachnął się, całkiem wytrącony ze swych dydaktycznych zamierzeń, dziadek.

- Ale nie zamkniesz mnie, dziadku... Nie zamkniesz? Bo chyba bym się nie przecisnął... przez te kratki...

- Nie, nigdy cię nie zamknę. Ale takie właśnie pomieszczenie, z którego nie da się wyjść, nazywa się celą. Zamyka się w nich złych, bardzo złych ludzi. I muszą tam mieszkać czasami więcej lat niż ty masz w tej chwili.

- Ojej!!!

- A my mieszkamy na planecie Ziemia, która jest, co prawda, ogromna, mieści nas wszystkich, i ciebie, i mnie, i pana Em, i Pikusia...

- I króliczki?

- I króliczki. Nie jest jednak aż tak ogromna, byśmy mogli ją bez opamiętania niszczyć i zaśmiecać.

- Ja nie śmieczę!

- A jak nazwać to, co wczoraj zrobiłeś w swoim pokoju?

- Malutki bałaganik... Ale posprzątałem... Ty mi, dziadku, pomogłeś... Ale było jeszcze miejsce! Nie zaśmieciłem całego pokoju - wsypał się i spoglądał teraz zawstydzony w stare oczy dziadka.

- A gdyby dziadek ci nie pomógł, a mama kupiła ci jeszcze kilka zabawek? Gdyby zabawki wypełniły cały twój pokój? Co wtedy?

Maluch zastanawiał się chwilę.

- Mógłbym spać z tobą? - zapytał nieśmiało.

- Nie, przecież w twoich oknach są kraty, a drzwi zamknięte...

- Dziadku!!! - Był bliski płaczu.

- To właśnie cela: miejsce, z którego nie ma ucieczki, w którym jesteśmy zamknięci z wszystkimi naszymi problemami, z całym brudem, jakim się bezrozumnie otaczamy. Ziemia jest na razie naszym więzieniem, naszą celą, o którą musimy dbać, bo nie mamy gdzie uciekać, a innej nie dostaniemy. Oni potrafili zadbać o swój pokój i przeżyli w nim wiele szczęśliwych eonów lat, a jednak stało się tak, że musieli uciekać.

- Kto, dziadku, kto?

- No wiesz... Wampiry. Kochany, przecież nie pierwszy raz opowiadam ci tę historię...

- Przepraszam, zapomniałem. Ale będę mógł spać z tobą, jeśli mama kupi mi jeszcze kilka zabawek?

- Nie, chyba że wszystkie zabawki będą poukładane i żadna z nich nie będzie płakać, leżąc zapomniana w jakimś kącie.

- Będę o nie dbał jeszcze bardziej. - W tę obietnicę dziecko włożyło tyle szczerości, że stare serce dziadka skurczyło się gwałtownie, a umysł wypełnił wyrzut sumienia. Wiedział jednak, że jedna z dróg do wrażliwości prowadzi przez cierpienie.

- Tak więc Wampiry stanęły przed nie lada problemem: jak ocalić swój świat i siebie samych. Ich naukowcy wiedzieli, że zagłada jest nieunikniona. Cały trud, wszystkie siły skierowali w jednym kierunku: jak uniknąć tej zagłady...

II

- Udało im się? - głos zdradzał mutację.

Stare oczy spojrzały tysięczny raz na ukochaną twarzyczkę, która teraz zaczęła przybierać męskie rysy, choć oczy dalej pozostawały dziecięce. "Głos mu się łamie, niedługo stanie się mężczyzną - pomyślał. - Zna tę historię lepiej niż własne życie. Ile jeszcze zada starych pytań, nim padnie jakieś nowe? Nic na siłę - najstarsza zasada".

- Tak, kochany, udało im się. Najpierw nieśmiało oderwali się od macierzystej planety. Penetrowali własny układ słoneczny. Poznawali kolejne jego planety i ich księżyce. Cóż jednak z tego. To nie było rozwiązanie. To nie mogło ich uratować, jednak było nieodzowne, by wypróbować nowe technologie, by wypróbować własne siły. Minęły stulecia, nim opuścili własny układ. Miliony spoconych głów pochylonych nad maszynami liczącymi szukające rozwiązania, odpowiedzi na miarę być albo nie być. Miliony zawodów i zwycięstw. Udało się jednak. Stojąc na czworaka, z głowami wzniesionymi do wycia oddawali hołd tym, którzy zginęli w pustce kosmosu i nie wrócili do swych rodzin... dzieci... wnuków. Kolejne wprawy zaczęły wracać coraz szybciej i pewniej. Z czarnego, ugwieżdżonego nieba wracali kolejni bohaterowie, a beznadzieja zaczęła kłaść się cieniem na nadzieję.

- No, dziadku!

- Co, kochany, co?



- Zerwali pęta?

- Tak, kochany, zerwali... Za siedmioma słońcami nie znaleźli planety, która dałaby im życie, nadzieję; już pokonali siedem mgławic i nadzieja gasła w ich sercach, bo ich słońce zaczynało pęcznieć jak przedmuchany balon, gdy powróciła wyprawa Włada. Powrócili niespodziewanie. Ich głos nagle przerwał złowrobną ciszę, głośniki wypełniły sygnały alarmu. Nie było czasu na dociekania, kto i skąd wraca. Wracała wyprawa i jedyne czego byli pewni ci na Nosferatusie to to, że trzeba ich ratować. Przekazy rwały się: "...u ...lada ... zero... cała... jeśli nie.... rozbijemy się...". Grawitoradary namierzyły ich i śledziły tor ich lotu. Zmierzali w kierunku Nosferatusa zbyt szybko. Z obliczeń wynikało, że jeśli Asurota nie zmieni kursu, to przesyje Nosferatusa jak pocisk karabinowy dynię, a to oznacza zagładę jeszcze straszniejszą niż ta, której i tak się spodziewano, bo przedwczesną. W przestrzeń wystrzelił najpotężniejszy z międzygwiazdnych statków nazwany imieniem planety: Nosferatus, przygotowany do kolejnej, i jak się spodziewano, ostatniej przed "Końcem" wyprawy. Nosferatus w towarzystwie patrołowców poleciał na spotkanie Asuroty, przeciął jej kurs na kilkanaście miliardów kilometrów od planety Wampirów, ustawił się rufą do kursu Asuroty i zamarł w oczekiwaniu. Gorączkowo obliczano trajektorie i prędkości obu statków, starano się określić najbardziej optymalny moment, by Nosferatus, odpaliwszy swoje silniki, był zdolny na tyle szybko przyspieszać, by umknąć pędzącemu okrętowi Włada, a jednocześnie cały czas trzymać go w strumieniu cząsteczek wyrzucanych z silników i spowalniać jego lot.

- Udało im się, dziadku? Udało? - "Dlaczego jeszcze nie znudziła mu się ta historia?" - nie wiadomo, który raz starzec zadał sobie to samo pytanie. Ale w głosie jego ukochanego wnuka było tyle żaru, tyle szczerej ciekawości, że można było na potrzebę chwili uwierzyć, że słyszy tę historię pierwszy raz.

- Udało im się. Nosferatus ominął macierzystą planetę i okrążywszy pęczniejące słońce, powrócił do bazy. Patrołowce tak długo osmałały kadłub Asuroty ciągami z własnych silników, aż udało im się skierować Asurotę na orbitę wokół Nosferatusa.

- I wszyscy przeżyli...

- Tak, kochany, wszyscy przeżyli...

- ... i przywieźli dobre nowiny...

- Tak, tak było...

III

Młodzieniec zaczął się zastanawiać, dlaczego dziadek się nie starzeje. Przywykł już jednak do tego, że spoglądają na niego wciąż te same szare oczy, spod tych samych siwych i gęstych brwi i opowiadają wciąż tę samą niekończącą się historię.

- Dziadku, dlaczego nie umierasz? - pytanie było zaskakujące.

- A mam już umrzeć? To zależy tylko od ciebie...

Srogie, czarne brwi zwały się w dwie szpary, zza których fioletowymi lśnieniami lśkały łagodne oczy silnego młodzieńca.

- Gdyby to naprawdę ode mnie zależało, żyłbyś wiecznie - padło po chwili milczenia kolejne zdanie.

- Jesteś łaskawy - chciał dodać "Panie", ale na to było jeszcze za wcześnie.

- Więc powiedz, dziadku, jakie to były nowiny.

- Dobre nowiny...

To wiem, dziadku, pamiętam wszystko, ale mów proszę dalej...

- Za siedmioma słońcami, za siedmioma mgławicami znajdowało się kolejnych siedem słońc, a wokół każdego z nich krążyły planety. Nie były to jednak dobre planety. Dotarli w końcu do ósmego słońca, wokół którego krążyło dziewięć planet, a na trzeciej z nich znaleźli raj.

- Raj, dziadku?

- Tak, kochany - raj. Tak przynajmniej im się wtedy zdawało. Planeta była niebieska jak ocean i biała jak cumulus, a co najważniejsze był na niej tlen, bez którego nie mogli żyć. Asurota stanęła na orbicie i wysłała sondy. Pobrano próbki ognia i wody, powietrza i ziemi, i ucieszyli się. To będzie nasz świat - pomyśleli i odlecieli. Czas stanął dla nich w miejscu i, nim się spostrzegli, pokonali siedem mgławic i sześć słońc, a gdy mijali siódme wpadli w grawitację ruchomej czarnej dziury. Zawyły syreny, łuna światła czerwonych jak krew zalała korytarze Asuroty, a oni kolejno budzili się, by myśleć, by ratować siebie, a tym samym przyszłość własnego świata.

- I uratowali się, pokonali grawitację czarnej dziury, włączając na pełną moc silniki Asuroty i to było zarówno ich zbawienie, jak i klęska...

- Tak, kochany, tak. By ratować siebie i okręt, by wyrwać się z pola grawitacji czarnej dziury, rozpędzili statek do niewiarygodnej prędkości i wyczerpali tym samym cały zapas energii. Nie mogli już ani obrócić się rufą do kierunku lotu, ani tym bardziej wyhamować. Mknęli w próżni z prędkością, przy której promień światła zdaje się zamrożonym górskim strumieniem i nie mogli nic zrobić. Wykorzystali resztki energii, by nadać komunikat i na powrót zatrzymać czas.

- Ale udało im się. - W śmiechu była pasja i triumf. "Przeżywa to wciąż od nowa, jakby on sam był jednym z załogi Asuroty" - pomyślał starzec i potwierdził:

- Udało im się. Załoga Asuroty ocalała, a Nosferatus wyszedł z próby bez zadrapania - sprawdził się. I tak niedługo miał odbyć lot próbny. Jakiś czas potem uzupełniono zapasy paliwa i przygotowano exodus. Czas naglił. Słońce Nosferatusa mogło żyć jeszcze kilka tysięcy lat, a mogło umrzeć, nim kolejny nowonarodzony Wampir zobaczy światło Księżyców. Niewiele jednak dało się zrobić. Jakikolwiek niedopatrznie mógł przynieść równie pewny koniec, jak niespodziewana przemiana Słońca w supernową, więc wolno, ale konsekwentnie kończono przygotowania do odlotu.

- I w końcu nadszedł "Ten Dzień"...

- Tak, kochany, tak. Wład jako ostatni stanął w drzwiach śluzy promu na Nosferatusa. Był ostatnim Wampirem, który spojrział na nagą przestrzeń kosmodromu. Nie był to ciekawy widok. Czerwone skały i czerwony piach, a gdzieś tam daleko, czerwony Nosferatus pokryty rudymi lasami. W ładowniach rufowych, zapakowane w kapsułach spoczywały załączki wszelkiego życia, pobrane z rodzimej planety. Spały nieświadome niczego w zatrzymanym czasie. I załozde Nosferatusa należał się sen. Miał to być sen bez marzeń, sen zatrzymany, zawieszony w ułamku chwili; obraz i myśl mające trwać całe stulecia. Przed szaleństwem chroniło ich to, że wraz z myślą i obrazem gasła również świadomość, gasło wszelkie "przed" i wszelkie "po", zostawała tylko ta ostatnia chwila i umysł pozbawiony zdolności do jakichkolwiek odniesień.

- Długo spali?

- Bardzo długo.

- Jak długo?

- Dłużej niż ludzie mówią do siebie: "myślę więc jestem".

- To długo.

- Tak, kochany, tak. Ale ten czas się nie liczył. Spali zatrzymani w czasie, trwali bez marzeń, zapatrzeni w ostatni obraz i myśl sprzed godziny "T", i ta myśl, i obraz musiały się rozwinąć, i przebrzmieć, nim zdali sobie sprawę z tego, że wylądowali.

- A wylądowali w... - Młodzieniec uwielbiał ten moment. Nazwa krainy z baśni, która miała za chwilę paść, za każdym razem sprawiała, że drżał. Nie zdarzyło się, by sam wymienił tę nazwę. Czasami dziadek podpuszczał go: "w..., no w..." ale za każdym razem kończyło się tak samo: "Ty, dziadku, ty. Ja tak nie umiem..." - i zamierał, i czekał, i drżał, a kiedy padało to słowo, zamieniał się w kłębek dzikości, radości, emocji, szaleństwa. Jego oczy zwięzały się w ciemne szpary, pięści zaciskały się, grzbiet przeżył, a on czekał... Tym razem było inaczej -

...miejsca, które nazwali Transylwania.

Dziadek oniemiał. Patrzył jak lśnią fioletowe źrenice, jak zaciskają się potężne pięści i jak złowieszczo lśnią jego zęby spoza warg zastygłych w bezruch po ostatniej głosce.

- Tak, kochany, tak. Tam właśnie wylądowali. Mieli i szczęście, i nieszczęście zarazem. Ocaleli, i to było ich szczęście, statek jednak uległ uszkodzeniu, i to było ich nieszczęście. Nosferatus wrył się w górski szczyt i nie było już sposobu, by uruchomić go ponownie. Wampiry nie martwiły się tym jednak. Dotarły do swojej nowej ojczyzny i to było najważniejsze. Wszyscy żyli, a kapsuły z zarodkami wszelkiego życia z ich rodzimej planety ocalały. Nadszedł czas wytężonej pracy. Sondy sondami, próbki próbkami, ale co innego widzieć lwa w księżde, a co innego spotkać go w afrykańskim buszu...

- Spotkałem lwa w afrykańskim buszu.

- ?

- Miauknął i uciekł!



Dziadek spojrział zdezorientowany. Jego wnuk był pięknym młodzieńcem nie tylko według niego, lecz i według ludzkiej miary. Każdy człowiek oceniłby wiek młodzieńca na jakieś osiemnaście lat.

"No tak! Jest już prawie dorosły. Zdaje mu się, że żyje własnym życiem... I dobrze. Tak musi być. Jeszcze nie nadszedł czas... Odwiedza mnie coraz rzadziej, choć nie zdaje sobie sprawy, że nawet kiedy odwiedza najodleglejsze krainy jest bliżej mnie niż mu się zdaje..." - myśli dziadka nieco odbiegły od rzeczywistości, lecz nim chłopak się odezwał, jął kontynuować opowieść:

- Pierwszy świt po lądowaniu zastał ich przy pracy. Jedne maszyny łupały skałę, inne wznosiły mury z okolicznych skał wokół unieruchomionego statku, jeszcze inne rozbiegły się po okolicy w poszukiwaniu informacji o nowej planecie. Były i takie, które wyjaławiały ziemię. Wypalały z niej to, co trujące, utylizowały srebro, złoto i nikiel sprawiając, by żadna jej cząstka nie stanowiła zagrożenia. Tych pierwiastków nie było na Nosferatusie i każda ich

drobina stanowiła dla nich śmiertelne zagrożenie. To, co teraz nosi miano Transylwanii, to właśnie taka i dokładnie taka połać ziemi wokół Nosferatusa, jaką maszyny zdołały spreparować, nim okazało się, że trzeba je wyłączyć. Na planecie, na której wylądowali, nie było untrydium - pierwiastka, bez którego nie było możliwe zasilanie reaktorów, które były sercami wszystkich maszyn Wampirów. Untrydium postanowiono co do molekuly zachować dla potrzeb Nosferatusa. Na razie nie było potrzeby powiększać obszaru Transylwanii, a untrydium stało się bezcenne. Wampiry pracowały. Słońce nowego świata wznosiło się coraz wyżej i wyżej. Cienie skał stawały się z każdą chwilą krótsze, aż całkowicie zniknęły i wtedy rozbiegła się plotka, że można zdjąć skafandry, że jest bezpiecznie. Ich ciała i płuca były zmęczone gorączką i zaduchem skafandrów. Jak stado krów po wędrówce przez pustkowia rzuca się do wodopoju, tak oni, niemal jednocześnie, zaczęli zdejmować kombinezony. Po chwili rozległ się pierwszy krzyk, za chwilę następny i następny... Nie trzeba było wiele czasu. W ciągu kilku strasznych minut wszyscy, którzy zdjęli skafandry, wili się na ziemi, a z ich ciał unosiły się kłęby dymu. Ekipy medyczne, które bezrozumnie wybiegły na zewnątrz bez skafandrów, by ratować towarzyszy, spotkał ten sam los, choć już w trzewiach Nosferatusa. Wład, który był naczelnym dowódcą okrętu, stał nad ciałami swych towarzyszy i rwał włosy z głowy. "Co im się stało?" - ryczał ogarnięty szałem bezsilności. "To pewnie to słońce. Nasze było stare, to jest młode i pali nasze ciała" - odpowiedziała jakaś mądra głowa. "Czyżby więc koniec naszych marzeń?" - zapytał Wład. "Nie, pod warunkiem, że dzień na tej planecie będzie dla nas nocą" - odpowiedziała ta sama mądra głowa.

- Dobrze, że my się nie gotujemy w promieniach naszego słońca, jak oni. - odezwał się wnuczek.

Nie od razu doczekał się przytaknięcia. Głowa dziadka opadła wolno, skrywając twarz w cieniu, który rzucała jego siwa głowa w blasku świecy.

- Bardzo dobrze, że dzień ci nie szkodzi. Ja już nie mogę, jak kiedyś, ganiać z tobą po słońcu. Stary jestem, słońce mi nie służy - dodał ciszej.

- I stali się istotami nocy...

- A mieli inne wyjście?

- No, chyba nie bardzo...

- W ogóle nie mieli innego wyjścia. Dużo, dużo później udało im się spreparować żel, który nie przepuszczał promieni słonecznych, ale ta forma zabezpieczenia była tylko dla turystów. Zresztą, tak czy inaczej, promienie słońca przedierały się przez wszystkie zabezpieczenia (choć te były coraz doskonalsze) i parzyły ich skórę, skracali im życie. Słońce oznaczało dla nich śmierć.

- Współczuję im.

- Nie ma czego. Co za różnica, dzień czy noc. W ich świecie światła było tak mało, że właściwie tutejsza noc niewiele różniła się od dnia na ich planecie. Ot, musieli pamiętać, by unikać słońca i tyle. Kiedy to sobie uświadomili, wstąpiła w nich nowa nadzieja. Pochowali swoich zmarłych i zabrali się do pracy.

- Nowa planeta była cudowna, prawie tak piękna jak Nosferatus. Przykro im było, że nie mogą podziwiać całej jej krasoty na własne oczy, ale od czego są zdjęcia, filmy... W kinach oglądali świat za dnia, a nocą na własne oczy podziwiali czarne lasy porastające szczyty górskie Transylwanii. Jednak wkrótce pojawił się inny problem. Okazało się, że większość zwierząt i roślin, które przywieźli, reagowała na słońce podobnie jak oni. Rośliny i zwierzęta, które wyhodowali, umierały w palących promieniach nowego słońca. Rośliny więdły i czerniały, gdy tylko pierwsza zorza pojawiała się na wschodzie i kiedy pierwszy promień życiodajnego dla macierzystej flory i fauny słońca docierał do nich. Ze zwierzętami było jeszcze gorzej. Rośliny umierały w milczeniu, zwierzęta umierały płacząc, patrząc swym stwórcom w oczy, gasły w straszliwych męczarniach. Rozpacz ogarnęła załogę, jednak byli uwięzieni na Ziemi na zawsze i...

- ...tylko spokój mógł ich uratować...

- Tak. - Padło krótko. - Ich marzenia rozwiewały się, a oni bezradni miotali się po zatopionym w skale Nosferatusie, załamując ręce i czyniąc sobie wyrzuty. Wład czuł się z nich najgorzej. Nie tylko dowodził wyprawą, która odkryła ten świat, ale dowodził też exodusem. Byli tacy, którzy patrzyli nań krzywo, jakby z pretensją za niedopatrzania, ale większość starała się go pocieszyć. Mówili: "Ile trwało, nim w ogóle znaleziono planetę zawierającą w swej atmosferze tlen? Myślimy, że nasz świat nie przetrwałby krotności tego okresu". "Ale może za ósmą mgławicą i za pierwszym słońcem znajduje się świat lepszy, bardziej nam przyjazny?" - odpowiadał Wład. "A jeśli nie?" - odpowiadali przyjaciele, a on milkł i kochał ich jeszcze bardziej....

- Dziadku, coś opuściłeś...

- A co, kochany, a co?

- A smoki?

- A rzeczywiście! Umknęło mi jakoś...- chłopak nie uwierzył. Dziadek nigdy niczego nie robi nieświadomie, nigdy o niczym nie zapomina i ciągle prowadzi jakąś grę, którą on wyczuwa, ale jeszcze nie rozumie...

- Dziadku, nie rób mi tego...- dziadek zaśmiał się szczerze w głębi serca, ale na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, no, może lekko uniosły się kąciki jego ust, i miał nadzieję, że ukochany wnuczek tego nie zauważy, ale zauważył...

- Dziadku ...- napomniął go, zabawnie modulując głos.

- Dobrze już, dobrze. Pośród tych wszystkich stworzeń, jakie przywieźli ze sobą, było kilka takich, które nie znosiły nawet światła tamtego słońca i żyły pośród mroków tamtej nocy, a światło odbite od księżyca ziemi nie zabijało ich. Jednymi z nich były smokri, które później ludzie nazwali smokami. Wampiry nie przebierały, starając się ocalić każde życie z Nosferatusa. Smokri były bestiami. Wiele było przed odlotem dysput, jakie stworzenia brać, jakich nie, jakie gatunki warte są ocalenia, a co zostawić własnej zagładzie. Ostatecznie ładownie Nosferatusa, którymi zarządzał technik Noe, wypełnił materiał genetyczny wszystkich bez wyjątku istot, jakie nosił Nosferatus. Smokri były zakałą Nosferatusa, plagą wręcz, ale jak bez wyjątku, to bez wyjątku... - Dziadek otrząsnął się z zawieszono w powietrzu moralnego dylematu i zachnął się: - Ale mało to bestii żyje na ziemi? Wystarczy wspomnieć krokodyle, aligatory, lwy, tygrysy... Smokri, były jedynym naprawdę groźnym z punktu widzenia Wampirów stworzeniem na ich planecie, ale to nie było ważne, zasługiwało na ocalenie tak samo, jak pieszczochy - motyle, które uwielbiały oblepiać ciała Wampirów i ssać ich pot. Nagrodą dla cierpliwego "dawcy" była rozkosz jakiej nie mogłaby dać nawet najlepsza kochanka. Smokri od razu znalazły swoje miejsce w tutejszej przyrodzie. Mnożyły się wolno, żyły długo i były niezwyciężone. Słońce również stanowiło dla nich problem i to pewnie ocaliło Ziemię przed ich ekspansją. Trzymały się twardo swych mrocznych jaskiń i polowały tylko w ich okolicy. Czasami udawało im się podczas nocnych eskapad łowieckich znaleźć nową jaskinię i wówczas przenosiły się, albo robiły to ich dzieci. Było jeszcze jedno stworzenie, które przypominało tutejsze nietoperze. Tam, na Nosferatusie, ich pożywieniem był nektar kwiatów nocy. Unosiły się nad pustynią w poszukiwaniu roślin, które zakwitały tylko na moment. Nie potrzebowały innych stworzeń, by się zapylać; kwitły i wydzielały nektar tylko dla owych nietoperzo podobnych istot. Tu, na Ziemi, te istoty ukochały mrok. Jak smokri zagnieździły się w jaskiniach, a te stanowiły ich schronienie przed słońcem - ich dom.

- No, dziadku, "Gdyby nie one..." - Pamiętał każde słowo, każde zdanie, szczególnie te kluczowe, które przynosiły istotny zwrot w opowieści dziadka.

- Gdyby nie nietoperze i smokri, czy w końcu wilkołaki, Wampiry by nie przetrwały.

- Czemu, dziadku, czemu? - Czy jego zapal kiedyś ostygnie?

- Bo pojawił się nowy problem, problem pożywienia. Okazało się, że niemal wszystko na tej planecie było dla Wampirów trujące. Większość po zjedzeniu, jednak były takie rzeczy, których sama obecność wystarczała, by przynieść śmierć. Srebro i złoto, z których ludzie zaczęli później wyrabiać precjoza, nikiel, siarka zawarta w czosnku i cebuli... Widmo głodu i śmierci głodowej zadrżały Wampirom w oczy. Już pierwsi z nich konali w męczarniach, bo musisz wiedzieć, że Wampir jest stworzeniem bardzo żywotnym. O kotach mówi się, że mają dziewięć wcieleń, o Wampirach można powiedzieć, że mają ich osiemnaście. Nie sposób wyobrazić sobie sytuacji, w której umysł pragnie umrzeć, a ciało nie może...

- Nie sposób... - spojrzenie chłopaka było głębokie, troskliwe, i pełne strachu.

- Kochany....- dziadek jęknął płacząco w myślach i nawet nie zdał sobie sprawy z tego, że jego usta poruszyły się, a dusza wbrew jego woli zaszeptwała dalej: - Nie mogę żyć wiecznie. Nawet wszechświat narodził się i umrze kiedyś...

- Dziadku, jeśli ty umrzesz i ja umrę...

Łzy wypełniły oczy starca. Popęłnił błąd: za bardzo pokochał wnuka i pozwolił, by wnuk jeszcze mocniej pokochał jego. Było jednak za późno. Miał nadzieję, że wystarczy mu czasu, i zdoła jeszcze to naprawić.

- Więc jedna z mądrych głów - zaczął pewnie kontynuować opowieść, unikając jednocześnie czujnego spojrzenia wnuka - rzecze.: "Nietoperze i smokri, i wilkołaki radzą sobie jakoś... Co sprawia, że przeżyły?" Wszyscy zastanowili się. Zaczęto obserwować i jedne, i drugie, i trzecie w końcu. Smokri były bestiami, ich tryb życia nie różnił się od tego, który prowadziły na planecie Nosferatusa: zabijały wszystko, co poruszyło się w zasięgu ich wzroku. Nie skojarzono więc, co sprawia, że nie umierają. Podobnie z wilkołakami. Dla nich również tryb życia nie wiele się zmienił i szybko opanowały noc, szczególnie w niektórych regionach... Odpowiedź przyniosły nietoperze. Nie było tu ich ukochanych kwiatów, czym więc się żywiły? Obserwacje przyniosły efekt. Wylatywały całymi dziesiątkami ze swych jaskiń, kiedy ostatni promień słońca gasł za zachodnim skrajem horyzontu i rozlatywały się po lasach, łąkach i polach. Trzeba było nie lada zachodu, by wytropić te płochliwe stworzenia i podejrzeć ich posiłek.

Okazało się, że tutejsze stworzenia pachną dla nich tak samo, jak kwiaty pustyni, że mięciutko osiadają na ich ciałach, nacinają ich skórę i piją ich.... krew!!!!

- Nie wiem czemu, dziadku, ale w tym momencie zawsze robi mi się niedobrze...- Dziadek uśmiechnął się. Cóż miał powiedzieć?

- Wiem, kochany, wiem, jednak to uratowało im życie. Pierwszy skosztował krwi Wład. Inni wzdregali się jakoś: nawet ci stojący w obliczu śmierci. Wład uniósł kielich wypełniony krwią jakiegoś płowego zwierza i, choć w duszy zgrzytał zębami, nie mógł się wycofać. Skosztował. Z brzegu kielicha spływała parabola krwi. Obserwował, jak od zbrukanych jego ustami śladów na szkle rozptyływa się coraz cieńszy język purpurowej substancji. Cóż, smakowała ohydnie. Nigdy nie czuł w ustach takiej goryczy, był pewien, że umrze, jednak postanowił zachować się z godnością. Uśmiechnął się i sapnął: "Gorzkie, wstrętne ale przełknąłem...". Jedni udawali, że zrozumieli, inni zrozumieli, jeszcze inni porwali go w ramiona i zanieśli do lazaretu. To było głupie, bo ulegli odruchowi. Rozkaz był wyraźny: "Żadnej pomocy. Ja was tu przywiódłem i albo ja was ocale, albo stanę się kolejną ofiarą". Uszanowali jego wolę. Patrzyli, jak leży w bezruchu. Zdawało się, że śpi, a on nie spał, wczuwał się w swoje wnętrze, czekał na pierwsze torsje, na pierwsze oznaki zbliżającego się końca. Nie doczekał się.

- Dziadku, zaczynasz przekręcać. Zawsze mówiłeś, że doczekał się...

- Dobrze, niech będzie: Doczekał się... Miał słabości i agonii, doczekał się niespodziewanego przypływu energii. Nie wiedział, jak zareagować. Jeśli spontanicznie wyskoczy z łóżka, przyjaciele gotowi go skuć. Nie mógł też leżeć wiecznie, skoro czuł się doskonale. Wolno, bardzo wolno drgnął i usiadł na szpitalnej pryczy. "Nie wiem, przyjaciele, jak wam to powiedzieć, ale choć krew tych stworzeń smakuje ohydnie, nie jest trująca. Nigdy nie czułem się lepiej, nigdy nie myślałem trzeźwiej i nigdy nie rozpiełała mnie taka

energia". Dziewięćdziesiąt pięć procent z nich, choć mu sprzyjali, spodziewała się jego śmierci, więc nie łatwo uwierzyli, że nie tylko przeżył, ale doznał czegoś, czego nie byli zdolni sobie wyobrazić. Kiedy próbował wstać, znaleźli się tacy, którzy chcieli go powstrzymać...

- Ale się, dziadku, nacięli, co nie?

- A nacięli się. Krew ziemskich stworzeń, którą wypił Wład, sprawiła, że zyskał niemal boską moc. W dawnych czasach alchemicy na Nosferatusie łamali sobie głowy, by uzyskać eliksir o podobnym działaniu; w jakiś sposób przeczuwali możliwość istnienia takiej substancji. Wład poczuł, że ulega jakiejś niezwyklej przemianie. Tym, którzy chcieli go zatrzymać, zdawało się, że dotykają nieporuszonego posągu. Napierali, a on czekał, aż odstąpią. Znaleźli się i tacy, którzy rzucali się na niego i dokładali wszelkich sił, by im uległ. Nie osiągnęli nic. Wład w końcu odezwał się: "Szkoda naszego świata. Był piękny i dobry, ale do niego nie ma już powrotu. Żyjemy tu i teraz, a naszym obowiązkiem jest przeżyć i ocalić tyle, ile się da. Krew żyjących tu istot jest ohydna, jednak sprawia, że stajemy się równi bogom..."

Byli tacy, którzy pytali, byli tacy, którzy milczeli i zastanawiali się, byli i tacy, którzy wymknęli się chyłkiem, ściskając się niecierpliwie za wygłodniałe trzewia, by jak najszybciej nasycić głód. Ci przynieśli Wampirom najwięcej szkody, przez nich ludzie zwrócili na Wampiry uwagę i zaczęli je tępić.

- To głupcy...

"To cudowne! Zdołałem w nim zaszcześcić wszystko, co najlepsze, co najbardziej prawe..."- pomyślał Dziadek.

- Zachowali się głupio, ale nie ma nikogo, kto nie popełniałby błędów...

- Tak, dziadku, masz rację, często żałuję tego, co robię i....

- Nic nie mów, kochany, nie są ważne zwątpienia, a to, że wiesz gdzie dążysz i co musisz zmienić, by stać się lepszym....

- Dziadku, przemawia przez ciebie mądrość....

- Ty też kiedyś będziesz dziadkiem....

- I cieszę się z tego, dziadku, nawet nie wiesz jak!!!

Starzec wspominał stulecia, które minęły i zastanowił się. Dobrze wychował wnuka. Ukształtował go najlepiej jak umiał. Był tym jednym jedynym. Był najlepszy, doskonały... Spojrzał na swoje dłonie i strzepnął nimi gwałtownie. Ciągle zdawało mu się, że ociekają krwią. Załkał w duchu: "Moje dzieci, moi wnukowie...". Ale tak musiało być, taka była cena tego, by on mógł powstać i żyć...

- Mój kochany....- zadało się, że ulega czarowi wnuka.

- Powiedz, dziadku, jak ludzie zwrócili się przeciw Wampirom.

- Cóż tu opowiadać. Krew żywych istot zamieszkujących Ziemię nosiła życie. Była wstrętna. Nie było jednak innego wyjścia; to był jedyny pokarm, jaki leżał w ich zasięgu. Tylko pijąc krew stworzeń zamieszkujących tę planetę, dało się przeżyć. Nie miało znaczenia czyja to krew, czy sarny, czy wilka, czy psa, czy człowieka. Niestety. Wkrótce potem okazało się, że raz skosztowawszy krwi, Wampir nie może spożywać już niczego innego, gorzej, musi pić krew ciągle tego samego stworzenia...

Wampirom zadawało się, że wszystkie stworzenia Ziemi stoją bardzo nisko w łańcuchu rozwoju, tak nisko, że nie rozróżniali zwierzę czy człowiek, i to był błąd. Człowiek zaczął się szybko wznosić w hierarchii

stworzeń zamieszkujących Ziemię. Mnożył się jak mysz i był tysiącrotnie mądrzejszy niż ona. Wampiry zaczęły traktować go jak szkodnika. Ludzie stali się ich ulubionym pokarmem, pokarmem najbardziej sycącym, najbardziej napełniającym energią i siłą. Nikt nie widział w tym niczego złego. Ot, tępiono pasożyta, który zajmował w przyrodzie tego świata miejsce, które pragnęły zająć Wampiry. Okazało się jednak, że to nie tak, że sama planeta też ma coś do powiedzenia; w jej pierwotnych planach nie było wampirów, choć te, jak wszelkie inne życia, pragnęły tylko przeżyć tam, gdzie rzucił je los.

- I Ziemia ulitowała się nad nimi...

- Tak, ulitowała się nad nimi, ale nie sama. Wampiry długo szukały, nim znalazły, nim wpasowały się w schemat zaplanowany przez siły rządzące naturą tej planety.

- Ale w końcu udało im się, wpasowały się, znalazły swoje miejsce...

- Tak, kochany, tak. Mijały dziesięciolecia, w końcu stulecia. Ci, którzy nie wybili się między sobą, rozumieli coraz więcej i żyli dalej. Dziwili się temu. Na ich planecie, na Nosferatusie dawno, dawno temu byłiby martwi. To krew ich ofiar sprawiała, że nie umierali, że dopóki unikali tego, co było dla nich trujące, żyli przez całe stulecia. Nie mogli jednak życia czerpać garściami. Musieli być ostrożni. Ci, którym zyskana moc odebrała rozum, ginęli od dziesiątków trucizn, jakich nauczyli się przeciw nim używać ludzie.

- I stali się - poza nietoperzami - jedynym gatunkiem, który przetrwał...

- Tak, masz rację. Nietoperze-wampiry były w sumie nieszkodliwe. Rzadko zdarzało się, by ich ofiary umierały. Smokri wybili ludzi. Na nic zdali się ich potężne, obrosłe twardą łuską ciała, przeciw determinacji i pomysłowości ludzi. Jedni podrzucali im barany wypełnione trującą siarką, inni, bardziej honorowi, stawali na swych nieustraszonych rumakach, na udeptanej ziemi z kopiami w dłoni. Durni ludzie myśleli, że to rycerz zwyciężał, a to nie rycerz, a trujący grot jego kopii zadawał śmierć smokrom. Cholera ich wie, jak skuwali groty swych lanc. Jedni, niczego nie świadomi robili stopy z domieszkami srebra i niklu, i pokonywali bestie, inni kuli groty z czystego żelaza i nie tylko nie zadawali smokrom śmierci, ale dodawali im wigoru. Durni ludzie....

- Dziadku. Aż tak nisko nas cenisz?

- Nie, ale Wampiry wyciągnęłyby wnioski szybciej niż oni. Ludzie obnosili się i chełpili zwycięstwami nad smokami - jak je nazywali. Jedni byli niezwyciężeni, inni umierali szybko, ale jedynym echem życia jednych i drugich była groza ich imion, opowieści o smoczym okrucieństwie i wiecznie żywe legendy. Tak, czy inaczej, na jedno smocze pokolenie przypadało pięć ludzkich. Smoki nie miały szans, musiały wyginąć. Smoki jednak, w przeciwieństwie do Wampirów, były bezrozumnymi bestiami. Ich żywiołem było zabijanie i nie potrafiły wyciągać wniosków z porażek. Podobnie było z wilkołakami, choć te przetrwały nieco dłużej niż smokri. Ostatecznie przeżyły tylko nietoperze i Wampiry, o wilkołakach nic nie wiem. Początkowo Wampiry traktowały ludzi jak zwierzęta i zabijały je bezlitośnie. Najlepiej smakowała krew prosto z ich ciał. Taka krew miała największą wartość i dawała największą moc.

- Ohyda!!!!

- Da ciebie to "ohyda", ale dla nich było to żyć albo nie żyć. Zarzynali Cyganów, zarzynali Wręgów i Rumunów, zarzynali każdą nację, jaka się nawinęła. To były dla nich zwierzęta. W końcu na Nosferatusie również istniał gatunek, który od tysiącleci trwał w epoce przedkamiennej, a jednak był inteligentny...

- Wilkołaki? - to była czysta kurtuazja. W końcu tego, który opowiada, trzeba od czasu do czasu utwierdzić w tym, że nie gada po próżnicy

- Właśnie.... Musiały minąć stulecia, nim Wampiry zrozumiały, że mają do czynienia nie ze zwierzętami, a z dynamicznie rozwijającym się społeczeństwem, które nie tylko intelektualnie rozwija się szybciej niż Wampiry przed mileniami, ale i mnoży się wielokrotnie szybciej.

- I przestali...

IV

Jego głos był jak werbel przebrzmiewającego grzmotu, łagodniał i milkł. Piorun uderzył gdzieś tam, a to, że słyszę jego milknący pomruk znaczy, że nie we mnie.

- Przestali. Szkoda Nosferatusa, szkoda tego co umarło, ale tam nigdy Wampiry nie osiągnęłyby takiego poziomu, takiej potęgi jak tutaj... - Szczupła twarz wnuka osadzona na szerokich ramionach była blada. Według ludzkich kryteriów trupioblada, chora i niemrawa, ale to tylko według ludzkich kryteriów. Dziadek widział w niej znamiona potęgi. W tej twarzy widział odradzające się zapomniane bóstwa Nosferatusa, zapomniane jeszcze przed exodusem. Jeszcze raz spojrzął na siedzącego naprzeciw niego dorosłego mężczyznę. Dopalająca się świeca toczyła własną grę ze światłem i cieniem na ukochanym obliczu wnuka. "Mój wnuczek, krew z krwi, kość z kości mojej i myśl z myśli mojej.... Jak mi się to udało? Jak?!!!"

- Tak, i przestali zabijać ludzi w ostatniej chwili. Nie lada trzeba było zabiegów, by ich oszukać, by ich utwierdzić, że Wampiry wyginęły.

- Dziadku, powiedz mi, czy Wampiry były złe? - pytanie zaskoczyło go, bo choć sam sobie to pytanie niejednokrotnie zadawał i odpowiadał na nie, nie spodziewał się, że jeszcze ktoś je zada, i że przyjdzie mu tę kwestię rozstrzygnąć. Wąskie wargi z trudem się domykały na potężnych kłach. Błede oblicze okalała plama sinego, niemożliwego do wygolienia zarostu. Tyle stuleci, tyle dni i godzin...całe życie pracy... Moje dzieło...

- Nie kochany, Wampiry nie były... i nie są złe. Im przyszło zapłacić najwyższą cenę za przetrwanie. Inne gatunki umarły nieświadome, że umierają, że ich czas minął. Wampiry myślały, że za siedmioma słońcami, za siedmioma mgławicami czeka na nich z otwartymi ramionami świat identyczny do tego, z którego przyszło im uciekać, nie przypuszczały, że jak najgorszy rodzaj intruza wtargną w ekosystem zupełnie im obcy, taki, który w swych planach zupełnie ich nie przewidywał. Musiały minąć tysiąclecia, nim pewne rzeczy zdolni byli zrozumieć, nim zaczęli myśleć, nie jak zdobyć tę cudowną planetę, a jak się przystosować.

- I udało im się?

- Tak, teraz już myślę, że tak. Zachowali się w sumie i tak mądrzej niż, na przykład, pierwsi kolonizatorzy Ameryki Północnej. Człowiek człowiekowi wilkiem, ale i człowiek człowiekowi bratem, który wszystko rozumie. Kto wyrzynał Indian było wiadomo, kto gwałcił i patroszył czerwone kobiety również było wiadomo, ale że tu, czy gdzie indziej, znaleziono kogoś z przegryzionym gardłem, i nie wiadomo było kogo za to winić, tego już nie dało się znieść, choć ofiar Wampirów było jak jeden do stu tysięcy w stosunku do tych, których ludzie sami uśmiercili .

- Wierzyć, dziadku, się nie chce, że człowiek może być taki głupi...

- Czy ja wiem, czy to właściwe kryterium, by to rozstrzygnąć? Ludzie byli jednym z naturalnych ścierających się od milionów lat trybów w maszynie życia tej planety, Wampiry były obce. Nie były jednym z tych trybów, były raczej piaskiem zgrzytającym pośród nich, były kruszyną pośród toczących się od miliardów lat gładów. Taki piasek, choć go mało, mocno chrząści, i pewnie dlatego ludzie zwrócili na nich uwagę i starli ich na proch. Wampiry obróciły się w proch, pamiętaj, nie w nicłość.

- To one dalej żyją?!!!

"Oj zabrnąłem - pomyślał dziadek.- I co ma mu teraz powiedzieć? Nawet epilog musi mieć swój początek..."

- Żyją, kochany, żyją, choć niewiele ich zostało. Nietoperze żyją do dziś i mają się dobrze, ostatni smok zginął ze dwieście lat temu (o hańbo!) z głodu, wilkołaki może jeszcze gdzieś się tłuką, a Wampiry przyczały się, pracowały i zdaje się, że osiągnęły punkt, w którym bez zgrzytów mogą, jak kolejny bieg w doskonałym samochodzie, włączyć się w nurt życia Ziemi.

- Dziadku, to nie zabrzmiało jak bajka... - Żrenice straciły swój fioletowy, zadziorny blask. Stały się dwiema opalizującymi szczelinami. Mieniły się przez chwile wszystkimi kolorami pewności i niepewności zrozumienia i zwątpienia, by w końcu na powrót przybrać kolor fioletu - Dziadku, opowiedziałeś mi tę historię z pięćset razy (pomylił się tylko o trzy i pół. Raz zdarzyło mu się zasnąć w połowie ...), znam ją niemal na pamięć, ale nigdy nie powiedziałaś, ile jest prawdy w tej baśni. - Epilog ominął swe własne rozwinięcia i wielkimi krokami zmierzał do własnego końca.

- Tak, kochany. Dziś kończysz trzysta lat... - Potężne szczęki wnuka zgrzytnęły, szerokie ramiona zapadły się, a blade oblicze stało się jeszcze bardziej blade... "Biedny... Może za długo mamiałem go bajkami..."

- Dziadku, rzadko się zdarza, by człowiek dożył stu dwudziestu. Ja mam dopiero... - "Szybko liczy i szybko kojarzy... Czemu nie wcześniej?" -...trzydzieści lat.... - Siwe, surowe brwi chyba po raz pierwszy podczas opowiadania "Bajki" uniosły się i wpatrzyły we wnuczka w taki sposób... Dla niego były ukochane, nie były surowe, nie były srogie, były ukochane. Co w nich było ? Jakiś uśmiech, jakaś cierpliwość, oczekiwanie... potwierdzenie?

- Dziadku, proszę...

- Tak, kochany... Tak. - Dziadek uniósł do ust kielich wypełniony jakąś purpurową substancją. Wnukowi zawsze zdawało się, że jest to wino. Nigdy jednak nie widział dziadka by ten jadł, tym bardziej pił, cokolwiek innego. - Jesteś pierwszym, który nie musi pić tego świństwa...

Koniec